

Przyglądam się krytycznie szkicowi, jest słaby i głupi. Dzieci-nada. Mnę go, rwę na kawałeczki i wyrzucam do kosza.

W kuchni dzwoni mój telefon. Nie chce mi się go odbierać. W końcu, gdy cichnie, poirytowana sprawdzam, kto dzwonił.

Adisa. Więc to nawet lepiej, że nie odebrałam. Po chwili wysłała esemesa. Nie odpisuję. Kolejna wiadomość przychodzi od Chorwackiego Czerwonego Krzyża. Dziękują za esemesa, którego wysłałam, żeby pomóc uchodźcom. Piszą o wspólnej akcji Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyc<sup>\*</sup>.

Wszędzie ci uchodźcy, chyba tylko w Istrii jeszcze ich nie ma, chociaż podobno niedługo mają dotrzeć i tu. Mama wspominała o planach przygotowania dla nich ośrodka w Puli. Wszyscy ciągle mówią o uchodźcach. W radiu, w telewizji, w internecie, na ulicy... Biedni ci uchodźcy. Stracili wszystko. Mama mówi, że nie ma nic gorszego niż wojna. Muszę ją spytać, czy możemy zrobić dla nich coś jeszcze.

---

<sup>\*</sup> Czerwony Półksiężyc – międzynarodowa organizacja humanitarna, odpowiedzialnik Czerwonego Krzyża w krajach muzułmańskich.

## *Nagle spotykam... No właśnie, kogo?*

*sto pięćdziesiąty trzeci dzień po operacji  
południe*

Po wielkiej burzy w nocy wszystko zdążyło wyschnąć, zanim się obudziłam. Znow jest piekielnie gorąco i nie ma czym oddychać. W nocy jugo<sup>\*</sup> wrzuciło nam do ogródka czyjś pstrokaty nadmuchiwany basen dla dzieci (pewnie jakichś turystów), połamało suszarkę z praniem, którą zapomniałam sprzątnąć z podwórka, i stłukło doniczkę z dziwaczkami. Na chodniku przed domem walają się przywlezione przez wiatr z różnych zakamarków miasta śmieci. Normalka. A na lazurowym niebie ani jednej chmurki, słońce ambitnie walczy samo ze sobą o pobicie rekordu temperatury lata. Gorąco. Czuję się jak frytka w oleju. Deszcz pomógł tylko na chwilę. Upał podoba się wyłącznie turystom. A my nie mamy w domu klimatyzacji.

Czy w moim życiu kiedyś coś się jeszcze wydarzy?

Leżę w swoim pokoju, staram się odpędzać od siebie myśli o plenerze. Próbuję nie zastanawiać się, kto na niego

---

<sup>\*</sup> Jugo – ciepły, wilgotny wiatr z południa.

pojedzie. Ignorować myśli o domkach w lesie, o malowaniu, o wspólnych wieczorach...

O Ivo...

Bazgrzę byle co – gdy mama wraca z pracy.

– Petra, a ty dziś wychodziłaś z domu? – pyta bez sensu.

Podnoszę się z łóżka i patrzę na nią zdziwiona. Skąd w ogóle jej to przyszło do głowy? Przecież mówiłam, że już nigdy nie wyjdę dalej niż do ogródka, żeby dać Giallo kociej karmy. A przynajmniej nie wyjdę do momentu, w którym będę mogła normalnie chodzić bez kul. Zresztą, dokąd miałabym pójść?

– Dzwoniła pani Maretić. Pytała, czy przynieść twoje świadectwo, czy przyjdziemy po nie do szkoły – mama siada na brzegu łóżka.

Wzruszam ramionami. Co za różnica, ja na pewno nie idę. Pani Jasna Maretić, moja wychowawczyni, uczy chorwackiego. Dziś było rozdanie świadectw, dlatego dzwoniła. Są wakacje\*, ale mnie jest wszystko jedno. Dla mnie jedyna różnica polega na tym, że przestałam się widywać z nauczycielami, którzy przez ostatnie miesiące codziennie przychodzili do nas do domu.

– Przecież wiesz, że nigdzie nie pójde – burczę.

\* W Chorwacji po tygodniu wakacji uczniowie przychodzą na uroczyste rozdanie świadectw.

Już chcę walnąć się na łóżko i wracać do swoich bazgrołów, gdy słyszę:

– A może powinnaś? To przecież bliźniętka, po drugiej stronie ulicy. Kiedyś musisz wyjść z domu, Petra.

Głos mamy jest, oczywiście, przepełniony troską. Irytuje mnie to jej wieczne martwienie się o mnie. Z drugiej strony to dobrze, że ktoś o mnie myśli. Robię zniecierpliwioną minę, dając do zrozumienia, że temat uważam za zamknięty.

– Nie zauważyłaś, że jeszcze nawet nie zarosły mi blizny? To się wcale nie zagoiło! Łatwo ci mówić, to nie ty masz szesnaście dziur w piszczeli!

– Pójde któregoś dnia po to świadectwo – mama wstaje z łóżka i idzie się pakować.

Zaraz ma autokar z niemieckimi turystami, którzy chcą zobaczyć Istrię i Plitwickie Jeziora. Coś tam jeszcze mówi, chyba że będzie tęsknić, że czas szybko minie i inne mamine głupstwa. W końcu, gdy tradycyjna litania rad, przestróg i czułości już za nami, mama rzuca:

– W lodówce masz jedzenie. Jeśli czegoś będziesz potrzebować, dzwoń do cioci Jasminki albo pójdz do pani Sonji.

– Idź, już idź – burczę znowu.

Mama spogląda na mnie uważnie.

– A może powinnaś choć trochę wyściubić nos z domu?!

Wyściubić nos ze swojej choroby? Nie tylko ty masz problemy, wiesz?

– Bardzo dziękuję za cenną lekcję życia, pani wszystko-wiedząca – atakuję ją. – Najłatwiej wymądrzać się tym, którzy nie wiedzą, o co chodzi.

– Masz już równej długości nogi... – oświadcza mama.

– ...z szesnastoma dziurami na wylot – przerywam jej w pół zdania, a potem tracę panowanie nad sobą. – Zrób sobie szesnaście dziur w nodze, wsadź tam druty, potem je wyjmij i idź na spacer, wiesz!

Mama łapie mnie w objęcia jak dzikiego kota i mocno przytula.

– Jeszcze trochę, córeczko. Jeszcze trochę. Kocham cię bardzo. Muszę iść do pracy.

Wyswobadzam się z jej objęć. Jeszcze całus i już macham do niej, a ona wybiega z domu, w ostatniej chwili zgarniając z zamrażarki superzimną butelkę z wodą, a potem jeszcze zawracając, żeby znowu mnie pocałować, i leci do tych swoich turystów.

– Pa, córeczko, pa. Tylko nie chodź znowu boso!

Kiedy zostaję sama, idę, oczywiście, do laptopa – mojego najlepszego przyjaciela. Laptop cię nigdy nie zawiedzie, nie

zdradzi, nie wyśmiej. Jest mu wszystko jedno, jakie kto ma nogi i jak chodzi. Jest cierpliwy, potrzebuje tylko prądu i internetu.

Co my tu mamy? W pootwieranych stu okienkach najróżniejsze różności, jak by to powiedział tata. Na przykład dwie gry logiczne. W programie graficznym nowy odcinek mojego komiksu z serii *Kule i dziewczyna*. Dzisiaj narysowałam dziewczynę w szpitalnej sali. Tęczowe kule unoszą się nad nią, wisząc w powietrzu niczym lizaki na choince, lewitują i patrzą spod sufitu, jak dziewczyna budzi się po operacji i, jeszcze na wpół przytomna, zauważa, że nie może się poruszyć. Wciąż działa znieczulenie, dziewczyna nie wie, jak bardzo będzie ją boleć.

– Przez dobę nie wolno ci podnosić głowy – pielęgniarka zmienia jej butlę w kroplówce i wychodzi z sali.

W drugim komiksowym okienku dziewczyna, jeszcze oszołomiona narkozą, nie bardzo rozumie, co się wokół niej dzieje. Podnosi prześcieradło, maca swoje ciało. Nie czuje nogi, ale widzi, że łydka jest gdzieś daleko, pod kupą jakiegoś żelastwa. Z głowy dziewczyny płyną myślodymki: „Co z nogą?”, „Czy wszystko się udało?”, „Jak zrobię siku?”. Nikt jej nie odpowiada na te pytania, bo nikogo nie ma w sali, a telefon leży aż metr od niej, na szpitalnej szafce. Telefon jest w trzecim okienku. Pod nim jest czwarty.

– Nie martw się. My ci pomożemy – mówi pierwsza tęczowa kula.

– Masz wyjątkowe szczęście – dodaje druga. – Nie jesteśmy zwykłymi kulami. Jesteśmy superkulami z turbomocą. Zaraz zabierzemy cię do Krainy Głębokiego Snu. To beztrojskie miejsce, bo nic się tam nie śni.

Kule są od dziś przyjaciółkami dziewczyny. Tworzą z nią zgrany tercet. Od teraz to strażniczki jej i jej zoperowanej właśnie nogi.

Dziewczyna myśli w komiksowym dymku, że to trochę przerażające tak zasnąć bez snów, ale w połowie tej myśli wpada w czarną czeluść, w której nic nie ma. I jest jej dobrze, tak jak obiecały kule.

Takie dziwaczne rzeczy rysuję. Obok komiksu mam otwarte okienko z informacją o kremie na blizny pooperacyjne, ileś piosenek, zapierające dech w piersiach zdjęcia parku narodowego w Macedonii i sama już nie pamiętam, co jeszcze. Przeglądam pocztę z kilku dni, ale nie ma w niej żadnego maila od prawdziwego człowieka – tylko reklamy plus newslettery albo wiadomości od nieznajomych z portali, na które kiedyś się pozapisywałam i dawno o nich zapomniałam.

Z portalu malarskiego: *Naucz się rysować człowieka w ruchu* – to nawet ciekawe, zaznaczam wiadomość chorągiewką.

Z portalu kociego: *Wymioty kota nie muszą oznaczać choroby...* – uff, całe szczęście.

Z Aquarium: *Żółwica Karetta już zdrowa! Zapraszamy na uroczyste wypuszczenie jej do morza...*

Przez chwilę robi mi się ciepło na sercu. A więc wyleczono ją. Niedługo będzie wolna...

Nigdzie nie idę, mowy nie ma.

Mój stary laptop nie może tego wszystkiego udźwignąć, następna strona nie chce się już załadować. Zabieram się za zamykanie niepotrzebnych okienek, system się wiesza. Restartuję laptop i słyszę za oknem w kuchni dziwny szmer. Giallo? Nie, to jakiś inny hałas. Pies? Pewnie znowu pan Siniša wypuścił swojego doga bez kagańca. Roki zawsze nam wszystko rozwała i mama się denerwuje. Ale nie powie niczego panu Sinišy, za bardzo go lubi. Zresztą pies potrzebuje się wybiegać.

Zaniepokojona idę do kuchni i patrzę na podwórko. Widok zasłania pranie – suche już, białe prześcieradła na długim sznurze. Pies albo coś innego jest za nimi. Jedno z prześcieradeł porusza się. Słychać szuranie. Moje zmysły się wyostrajają. To coś jest rzeczywiście wielkości dużego psa. Co tam robi? Zamieram w niepokoju. Najciszej i najostrożniej, jak potrafię, podchodzę do drzwi wejściowych, wstrzymuję oddech, potem ostrożnie

naciskam klamkę i bezszelestnie robię kilka kroków. To coś jest już pół metra ode mnie, tuż, tuż za prześcieradłem. Nie słyszy mnie. Prawie mogę tego dotknąć. Stoję i waham się, co robić dalej. Nagle przesywa mnie niezrozumiały lęk. Na sekundę nieruchomię z uniesioną ręką, ale przełamuję się i zdecydowanie odgarniam prześcieradło jak kurtynę w teatrze.

Wstrzymuję oddech.

Za prześcieradłem siedzi w kucki dziewczynka. Drobną, pochyloną, ma rozczochrane, ciemne włosy związane w poplątany kucyk. Zaskoczona unosi głowę. Nasze spojrzenia krzyżują się. Patrzę jej w oczy i widzę w nich błysk strachu.

Zamieram, bo mam przedziwne wrażenie, jakbym patrzyła w oczy samej sobie. Jakbym spoglądała w lustro, w zwierciadło czasu. Sama tego nie rozumiem. Czy może to być spojrzenie kogoś, kim byłam kiedyś?

Oszołomiona próbuję coś powiedzieć.

– Co ty tu...? – Ale dziewczynka zrywa się na równe nogi i biegnie w górę ulicy, kłapiąc podszwami brudnych ciężkich buciorów.

Zostaję sama ze swoim zaskoczeniem i swędzącym w mózgu uczuciem *déjà vu*. Jestem pewna, że podobna sytuacja już mnie kiedyś spotkała. Gdzieś już widziałam te oczy. Kim jest ta dziewczynka i co robiła pod moim domem?

Odruchowo omiatam wzrokiem taras i okolicę. Pod domem rosną kolorowe cynie w donicach, dalej są zepsuty czajnik, kupka okrągłych, jasnych kamyków i muszli znad morza, wywrócona do góry nogami miska Gialla. Rozlane mleko, w którym pływają mrówki.

Czego ona tutaj szukała?

Na ogrodowym stole sąsiadów widzę nadmuchiwany basen, mniejszy od tego, który przywiało do nas, seledynowy w granatowe i czerwone maziaje – to najwyraźniej wersja dla maluchów. Dziwne i zaskakujące prezenty przynosi nam wiatr. Dwa przywiane nie wiadomo skąd nadmuchiwane baseny jednego dnia? Czy to nie głupie? Na pobliskim oleandrze furkocze pozwijanymi od deszczu kartkami książka o krótkim tytule *Slottet*. Ciekawe, jaki to język? Fiński? Norweski? Holenderski?

Coś błyska na złoto w okolicach kociej miski. Co to może być? Podchodzę, schylam się ostrożnie i...

Przyglądam się znaleźnikowi, ważę je w dłoni. To piękna rzecz, możliwe, że cenna.

Ona to zgubiła.

Wkładam kule pod pachy i wychodzę na ulicę. Robię kilka kroków – tak, żeby zobaczyć przynajmniej budynek szkoły. Rozglądam się. Pani Sonja uśmiecha się do mnie, podlewa

kwiaty przed wejściem do klatki schodowej. Dwoje turystów robi sobie selfie z brym kotem sąsiadów. Sięgam spojrzeniem aż na koniec ulicy. Nie ma jej.

Tak jej nie znajdę.

„A może powinnaś choć trochę wyściubić nos z domu?!”  
– brzmią w moich uszach słowa mamy, ale odpędzam je.

*popołudnie*

Nigdy nie widziałam takiego naszyjnika. To dziwna, piękna zawieszka zaczepiona na długim, złotym łańcuszku – są na niej jakieś symbole. Zastanawiam się, co mogą oznaczać. Litery?



Oglądam próbkę złota na zapięciu – maleńka, ledwo widoczna, wybita tam cyferka 750 oznacza, że to kruszec wysokiej próby. Naszyjnik nie był tani. Z każdą chwilą nabieram pewności, że to jednak napis, może imię właścicielki? Czy to

możliwe, że ta dziewczynka nazywa się Lila? Liliana? Nie wiem, ale postanawiam, że właśnie tak będę o niej myśleć, bo taki napis przypominają mi znaki na łańcuszku.

Słyszę dochodzący z mojej kieszeni dźwięk esemesa. To niemożliwe – od... Ivo. Serce zaczyna mi bić szybciej.

*Popatrz. Czy ona Ci kogoś nie przypomina?*

Do esemesa dołączył zdjęcie. Otwieram je od razu...

Fotografia przedstawia ciemnowłosą rozkudłaną dziewczynkę w szarej, długiej spódnicy i granatowym T-shircie w duże białe grochy. Ekran jest zbyt mały, żeby zobaczyć ją dokładnie, ale nie mam wątpliwości, że patrzę na tę samą osobę, która przyszła pod mój dom. On także ją spotkał.

*Widziałam ją* – odpisuję, zaskoczona tą sytuacją: oto koresponduję z Ivo i piszemy o jakiejś nieznanym dziewczynce.

*Powiększ sobie* – pisze Ivo.

Dla ciebie wszystko – myślę i otwieram laptop.

Przerzucam zdjęcie na duży ekran, otwieram i powiększam je. Teraz mogę się jej przyjrzeć dokładnie. Lila stoi pod moją szkołą ze splecionymi na piersiach rękami, chyba ma kolorowy plecak. Jedną ręką dotyka zawieszzonego na szyi naszyjnika, który leży teraz na moim stole. Zdjęcie jest trochę poruszone, ale to na pewno ona.

*Znasz ją?* – pytam esemesowo Ivo.

Nie zna.

Zupełnie nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. W głowie pojawia się i znika jakieś nieokreślone wspomnienie, nie mogę go uchwycić. To przestraszone spojrzenie pełne bólu... Oczy zwrócone w górę... Wykrzywione usta... Wiedziona niewyraźnym przeczuciem wyjmuję stary album ze zdjęciami. Znajduję tam fotografię z wakacji sprzed czterech lat – jestem na niej z mamą i tatą nad morzem. Mam przerażoną minę, bo przed chwilą tata wyjął mi ze stopy kolec jeżowca. Bolało.

To było jeszcze przed wypadkiem.

Serce bije mi szybciej, jakby coś przeczuwało. Lato, plaża, kolec jeżowca, ból, przerażenie... Porównuję zdjęcie moje i Lili. Tak!

Ta dziewczyna wygląda tak samo jak ja kiedyś.

Jakie to dziwne, nierealne uczucie, gdy patrzy się na kogoś takiego!

Jest trochę szczuplejsza niż ja, ale jej twarz jest bardzo podobna do mojej! To jakiś powrót do przeszłości?

Skąd się wzięła pod moim domem? Kim jest? Czy to jakaś moja krewna? Dlaczego jej nie znam?

Dzwonię do mamy, ale ona, oczywiście, znów ma wyciszony telefon. Może właśnie wsiada do autokaru wiozącego turystów do Groźnjanu albo Rovinja.

Wychodzę przed dom od strony ulicy, gdzie czeka na mnie Giallo. Odgarniam wyschłe na wiór prześcieradła i jeszcze raz oglądam uważnie miejsce, w którym spotkałam dziewczynkę. Patrzę przelotnie na mural Ivo, myślę o tym, że on pojedzie na plener do Macedonii, a ja tu zostanę. Biorę kota na ręce i wracam.

Czego chciała? Dlaczego przyszła pod mój dom?

Przez głowę przelatują mi różne myśli, niektóre głupie, inne bardzo głupie. Może jestem adoptowana i mam siostrę, a rodzice całe życie ukrywali to przede mną? Czy ta dziewczynka dowiedziała się o mnie i w tajemnicy przed swoimi przybranymi rodzicami przyjechała do Puli, bo chce mnie poznać? Nie, raczej nie, w takim wypadku nie uciekłyby na mój widok. Może mieszka w domu dziecka i jest nieszczęśliwa? Albo ma jakąś rodzinę i właśnie się od nich o mnie dowiedziała, ale zabronili jej tu przychodzić? Przecież to niemożliwe, żeby dziewczynka, taka sama jak ja w przeszłości, znalazła się pod moim domem przypadkiem! To byłby zbyt wielki zbieg okoliczności.

Dlaczego tak się przestraszyła i uciekła?

Chciałabym ją odnaleźć. Może jeszcze tu przyjdzie?

Nie, rodzice raczej nie okłamałyby mnie. Nie są tacy. A może właśnie są?

Kłębi mi się w głowie. Co to za zakręcenie czasoprzestrzeni?